

Janina Lesiak

Jak Gucio i Franciszek nauczyli się przyjaźni

Bajka staroświecka

Było sobie miasteczko ukryte wśród lasów i jezior. Nad miasteczkiem wznosiła się wysoka wieża starego zamku, a przy wąskich, brukowanych uliczkach stały białe domki kryte czerwoną dachówką.

Przed każdym domkiem kwitły różowe malwy i niebieskie szafirki albo fioletowe i białe astry, hiacynty i konwalie, pnące amarantowe róże i głogi obsypane czerwonymi koralami.

Każda pora roku rozpościerała przed oknami domków kolorowe dywaniki, nawet jesienią było tam złoto i pomarańczowo, bo jesień właśnie taka jest: pomarańczowa i złota. Zima natomiast zamieniała zieloną trawę w białe futerko, błyszczące i migocące jak najpiękniejsze kolczyki mamy, bo każde dziecko wie, że śnieg w słońcu mieni się wszystkimi kolorami tęczy!

Za miasteczkiem rósł ciemnozielony las pełen grzybów, jagód i słodkich, pachnących poziomek. Blisko lasu, w chatce ze szpiczastym dachem i zielonymi okiennicami, mieszkali: babcia, dziadek, kot Franciszek i szczeniaczek Gucio.

Kot był duży i bardzo mądry. Miał tak błyszczące futro, jakby je ktoś wysmarował czarnym lakierem, a potem jeszcze długo polerował miękką szmatką, żeby świeciło i strzelało iskrami przy każdym dotknięciu. Chodził cicho i miękko, mrużył okrągłe złote oczy z dziwnymi żrenicami, podobnymi do pionowych, czarnych kresiek, wyginał grzbiet, jakby wcale nie miał kości. Zręcznie i lekko skakał z parapetu na stół, ze stołu na szafkę, a kiedy już się tak naskakał i nachodził, wylizywał do czysta miseczkę z pysznym jedzeniem i drzemał na poduszce umieszczonej w szufladzie wysokiej komody.

W całym domku słychać było wtedy mruczenie, bo Franciszek uwielbiał być najedzony i wypoczęty, więc swoim „mmrrrr, mrrruuuu, mmmrrry” oznajmiał, że podoba mu się tak leżeć i słodko leniuchować, więc grzecznie prosi, żeby nikt nie odważył się mu przeszkadzać.

– To moje miejsce. Nie mam zamiaru nikogo tu wpuszczać. Lubię się zwijać w kłębek i rozkładać jak długi,

kiedy mi przyjdzie na to ochota. Niech się nikomu nie wydaje, że można mnie stąd wygonić. Jestem delikatny i nie lubię się awanturować ani przemęczać, ale umiem pacnąć łapą, kiedy trzeba! Popatrzcie na mój ogon; jeśli jego koniuszkiem kręcę kółka, to znaczy, że jestem bardzo zły. Wąsy też potrafię nastroszyć jak dziadek, kiedy ma kiepski humor. A kiedy głośno prychnę, omijajcie mnie z daleka!

Niestety, małe szczeniaczki nie rozumieją kociego języka, więc tłusciutki, jamniczny Gucio o sierści rudej jak wiewiórka i bystrych ślepkach z niebieską mgielką podrygiwał na krótkich łapkach, próbując się dostać do Franciszka i skubnąć jego ucho albo koniec ogona.

Gucio był jeszcze malutki, niezdarly, bez przerwy się potykał i przewracał, ale był też uparty i ciekawski oraz z niczego łatwo nie rezygnował. Podskakiwał, zaczepiał ostrymi pazurkami o drewniany blat, chwilę tak wisiał pokazując różowy brzuszek, ale zaraz spadał jak kluska, po czym piszcząc rozpaczliwie zaczynał wspinaczkę od początku. Raz nawet udało mu się wleźć na kanapę! Stamtąd już prawie dosięgał franciszkowej poduchy, ale nagle poczuł mocne szturchnięcie i sprężysta łapa Franciszka zmiotła go jak piórko! Grubiutki Gucio leżał na podłodze i wniebogłosy płakał. Długo i żałośnie użalał się nad swoim losem, nie rozumiał, dlaczego starszy kolega go odpycha. Potrzebował przyjaciela, podziwiał poważnego, rozsądnego Franciszka i było mu bardzo przykro, że jest przy nim taki niezgrabny i do niczego. W jego niebieskawych oczkach połyskiwało coś jakby łzy, ale przecież psy nie płaczą, więc chyba tylko tak nam się wydawało.

Mijały dni i tygodnie, Gucio rósł, ale w długość. Jego sierść traciła dziecięcą puchatość, z oczu zniknęła błękitna mgielka, stawały się bystre i błyszczące, jak przystało na sprytnego, rezolutnego psiaka. Najbardziej zmieniła mu się śliczna mordka z policzkami w kolorze mlecznej czekolady albo pysznego kakao. Do tej pory była okrągła jak u żaby, aż nagle wyciągnęła się w dłuugi, wąski pyszczek, zakończony czarnym nosem. Wyglądało to tak,

jakby ktoś na koniec ołówka nasadził mokrą śliwkę. Gucio często oglądał się w dużym, stojącym lustrze babci i uważał, że jest bardzo przystojny. Już nie był mazgajem i marudą. Znał wszystkie dziury w płocie, rozróżniał coraz więcej zapachów, a jego wilgotny, czuły nos z rozkoszą węszył woń dalekich przygód, nieznanymi dróg i zarośli, krecich kopców i mysich nerek. Coraz bardziej pragnął poznać je osobiście, zanurzyć w ziemię krzywe łapki z mocnymi pazurami i kopać, grzebać, rozgarniać, przesypywać, rozrzucać. To była jego ulubiona zabawa.

Miał wielu znajomych dużych i mniejszych. Od wszystkich czegoś się uczył, bo małe zwierzęta i małe dzieci poznają świat przez dotyk, smak i węch. Dopiero później kojarzą i wyciągają wnioski. Gucio był bystrym psiakiem, więc obserwował i zapamiętywał kolejne przygody. Lubił na przykład wiewiórki, których nawet nie próbował prześcignąć, chociaż śmigały tuż przed nim i zapraszały do zabawy. Były śliczne i bardzo wesołe. Stawały blisko, patrzyły czarnymi oczkami podobnymi do guzików, podnosiły przednie łapki i wołały: „goń nas!”. Gucio parę razy dał się nabrać i ruszył w pościg, ale odkąd walnął lepkiem w drzewo i usłyszał chichotanie z wysokiej gałęzi, zrozumiał, że nie ma z nimi szans. Zwinne wiewiórki przekonały Gucia, że jeśli się naprawdę nie da czegoś zrobić, to trudno! Trzeba się z tym pogodzić i nie nabijać sobie guzów w daremnych wysiłkach. Jamnik to nie wiewiórka, nie skoczy z gałęzi na gałąź, choćby się nie wiem jak starał.

Śmieszne jeże tuptające po ścieżkach wyglądały sympatycznie, ale nie można było do nich podejść za blisko, bo zwijały się w kolczasty kłębek, podobny do tego, jaki leżał w koszyku z robótkami babci. Wystawały z niego igły, druty i szydelko, i choć wydawał się mięciutki i bezpieczny, to porządnie kujnął Gucia w pupę, kiedy szczeniak chciał sobie zrobić z niego piłkę. W dodatku dostał burę od babci, a bardzo tego nie lubił, bo kochał babcię całym swoim psim sercem i pragnął, żeby była z niego zadowolona. Dzięki jeżom Gucio pojął, że każde stworzenie broni się przed niebezpieczeństwem tak, jak potrafi i że nikogo nie wolno lekceważyć, choćby był mały i niepozorny.

Była wrzaskliwa sójka przelatująca nad ogrodem, której obietnicom nie warto było wierzyć, bo tylko papalala i ogłaszała, że już leci za morze, a wcale nie była gotowa do podróży. Był kret kopiący tunele pod rabatami z maciejką – jedni go lubili, bo spulchniał ziemię, inni uważali za szkodnika, więc Gucio się przekonał, że w tej samej sprawie może być wiele różnych opinii. Była

zwinna kuna migająca wśród gałęzi czeremchy i był kolega z sąsiedniej wioski – czupurny i trochę zarozumiały Azorek, w bialo-czarne łaty. To on namawiał Gucia na coraz dalsze wycieczki:

– Nie bądź tchórzem, ciągle siedzisz w domu, nosa nie wysuwasz poza ogrodzenie, nie wiesz co się dzieje na świecie. Czy ty kiedyś porządnie zmokłeś, czy się wytarzałeś w kałuży, albo poczułeś jak pachnie las?

– Mnie nie wolno samemu chodzić do lasu – tłumaczył Gucio. – Mam szlaban na las.

– Co z tego? – kusił Azorek. – Nikt nie będzie wiedział. Wymkniemy się po śniadaniu, pobiegamy i wrócimy na obiad. Nikt się nawet nie zorientuje!

Tak się składało, że świadkiem tych szczeniackich rozmów zawsze był czarny kot Franciszek. Zjawiał się jak duch, siadał w pobliżu, owijał ogonem i udawał, że drzemie, ale ponieważ strzygł lewym uchem, można było przypuszczać, że wszystko dobrze słyszy i rozumie.

Odkąd Gucio trochę dorósł, przestało mu tak bardzo zależeć na przyjaźni Franciszka. Potrafił się nawet odszczeknąć, kiedy pewnego razu kot na niego prychnął i bojowo wygiął grzbiet. Wtedy na karku Gucia krótka sierć ułożyła się jak ostra szczotka, górna warga podjechała do góry pokazując białe kły, a w gardle zabulgotało jak w kranie. Gucio nie miał pojęcia, że potrafi tak groźnie wyglądać, ale bardzo mu się to spodobało i odtąd na widok Franciszka, często robił głupie miny. Nic dziwnego, że o przyjaźni między nimi nie mogło być mowy, tym bardziej, że Franciszek ciągle się wtrącał i pouczał Gucia, jakby pozjadał wszystkie rozumy:

– Znowu kopalesz na grządce koło jaśminu – zrzędził. – Babcia posadziła tam herbaciane smolinusy i pachnącą rezedę. Zezłości się na ciebie, zobaczysz!

– Skąd będzie wiedziała, że to ja? Chyba nie naskarżysz, chociaż to do ciebie podobne! Ciągle latasz i miauczysz, nawet kiedy cię nie proszą. Podlizujesz się, żeby cię bardziej lubili! Zawsze byleś wredny!

– A ty głupi! Robisz doły i niszczysz ogród babci. Nie rozumiesz, że może się potknąć i złamać nogę? Że ją boli krzyż od schylania się i że nie powinno się niszczyć cudzej pracy?

– Nic złego nie robię! Zresztą, zaraz pójde i wszystko wyrównam. Nie będzie śladu.

– Mówiłem, że jesteś głupi! Cebulki kwiatowe już zniszczyłeś, nic tam nie urośnie. Babci będzie przykro...



Gucio nie znosił pouczania. Dorastał i z każdym dniem sam sobie wydawał się najmądrzejszy na świecie, więc takie wtykanie kociego nosa w jego psie sprawy bardzo mu się nie podobało. Dlatego postanowił trzymać Franciszka z daleka od siebie. Nawet, kiedy układali się do snu, Guccio tak manewrował, żeby kot nie mógł na niego patrzeć. Przeciągał zębami swoje posłanie w kąt za drzwi albo pod stół i zasłaniał oczy łapką.

– Jak ja niczego nie widzę – myślał – to on pewnie też nic nie zobaczy. I nie będzie mógł o mnie plotkować.

Życie Gucia było bezpieczne i szczęśliwe. Oczywiście miał gorsze chwile, na przykład wtedy, gdy użądliła go osa albo wtedy, gdy przestraszył się ogromnego wilczura i uciekając wpadł w kolczaste osty. Babcia długo wyciągała mu z boków, uszu i łap ostre igielki. Popłakiwał, ale był szczęśliwy, że ma mu kto pomóc. Był psem domowym, nie musiał się martwić – opiekunowie zawsze byli blisko. Minęło upalne lato, potem jesień pokolorowała świat na złoto, rudo i czerwono, a jeszcze później przyszła zima. Kałuże pokrył lód, a krople wody wiszące na gałęziach zmieniły się w błyszczące korale. Mróz odebrał drzewom ostatnie liście, ale w zamian podarował im brylantowe naszyjniki i białe girlandy, żeby się nie gniewały i spokojnie czekały wiosny.

Gucio był bardzo zadowolony. Uwielbiał harce w puchatych zaspach, przekopywał się przez zaśnieżony ogród, węszył pod krzewami, gdzie, jak mówił jego nos, na pewno zimowały myszy i nornice. Już nie zwracał uwagi na kota Franciszka, choć często widział jego wyprostowaną sylwetkę na parapecie, owiniętą w puchaty ogon.

Franciszek godzinami obserwował białe motyle śniegu i chmary ptaków przylatujące do karmnika na akacji. Były tam wesole sikorki w błękitnych czapeczkach i wróble klójące się o każde ziarenko, i jemioluszki, i gile

z czerwonymi brzuskami. Był nawet dzięcioł w malinowych rajtuzach i jaskrawym berecie, ale on wpadał tylko na chwilę i od razu przeganiał całe skrzydlate towarzystwo. Franciszek odruchowo oblizywał wąsy, ale robił to wyłącznie z przyzwyczajenia, bo był tak najedzony, że ptaki mogłyby mu bezkarnie spacerować nawet po nosie.

Po wielkich mrozach, które skuły ziemię przyszyły śnieżyce i zamiecie, zmieniające pola i łąki w białe, równe prześcieradła i przyginające do ziemi ogromne sosny i świerki. Świat zrobił się cichy i trochę zaspiany, bo długie godziny drzemał pod puchową pierzyną. Mijały dni, a śnieg padał i padał, tworzył zasy i wypełniał wszystkie doły i nierówności terenu. Panowała cisza, tylko czasami przerywana krakaniem wron i czarnych kruków. To była pierwsza zima małego Gucia i to od razu taka, że kiedy nurkował w sypkim śniegu, widać było tylko koniec jego cienkiego ogonka.

Gucio się nudził. Czasami wybiegał z domu i obszczekiwał okoliczne ploty wołając kolegów i koleżanki do wspólnej zabawy, ale nikomu oprócz Gucia nie chciało się wychodzić z ciepłych kuchni i marznąć pod szarym niebem. Czasami któryś wyskakiwał z sieni, podnosił to lewą, to prawą łapkę, otrząsał się i wracał, żeby się położyć przy piecu lub kaloryferze.

– Zostań jeszcze trochę – namawiał Guccio. – Pobiegamy, zobacz jakie tunele można robić w śniegu. Pobawmy się w jaskiniowców, będzie fajnie!

Ale nawet laciaty Azorek wołał się zakopać w kocyku, niż w śniegu. I znowu Guccio nauczył się, że samotne zabawy są do niczego, bo każdy psiak wie, jakie smutne i nudne jest kręcenie się bez celu i bez dobrego towarzystwa.

Pewnego dnia już miał zaskrobać w drzwi, żeby sprawdzić, co babcia gotuje na obiad, kiedy przypomniał sobie,



że po drugiej stronie jeziora mieszka bardzo miła i ładna koleżanka, więc postanowił ją namówić na wspólny spacer. Wymknął się z podwórka przez niedomkniętą furtkę, a potem wystarczyło tylko przemknąć przez brzozowy zagajnik, minąć kępy tarniny, znaleźć ścieżkę w trzcinie i już się było na miejscu.

Gdyby nie świeży ślad sarny albo daniela Gucio dotarłby tam bez najmniejszego problemu, jednak, co z niego byłby za jamnik, gdyby zrezygnował z takiej okazji?! Wrażliwy nos, który potrafił rozróżnić pół miliona zapachów, prowadził go jak najlepszy GPS. W każdej komórce nerwowej czuł radosne drżenie, jego krótkie, mocne łapki ledwo dotykały śniegu i choć był nadal grubutki, mknął jak strzała, prawie nad ziemią.

Gucio nikomu nie chciał zrobić krzywdy! Był radosnym, sympatycznym psem i lubił cały świat. Tylko z kotem Franciszkiem miał swoje porachunki, ale unikał awantur, schodził mu z drogi i nie zwracał uwagi na dąsy i prychnania, bo, jak mówiła babcia: „Zgoda jest najważniejsza”. Więc teraz wciągając powietrze przesycone ostrym, cudownie dzikim zapachem sarny, Gucio gnał przed siebie, bez opamiętania. Miał nadzieję na dobrą zabawę. Chciałby pofikać koziołki, na chwilę przyłgnąć do ziemi przednimi łapkami wypinając przy tym pupę i wachlując ogonem, piskliwie poszczekać, wskoczyć na jakąś górkę i zjechać z niej na brzuchu... no, w ogóle miał Gucio sto pomysłów na porozrabianie z leśną nieznajomą. Niestety, kiedy się tak pędzi i pędzi nie zwracając uwagi na otoczenie, łatwo o przykrą niespodziankę. Babcia zawsze powtarzała: „Uważaj, nie wtykaj łapki w nieznanne szczeliny, nie zbliżaj się do ognia, nie próbuj polizać gorącego, miej oczy dookoła głowy!”. Miała rację.

Gdyby Gucio o tym pamiętał, pewnie by zauważył, że zbliża się do miejsca okrągłego jak studnia

i ciemniejszego niż biały śnieg dookoła, ale Gucio niczego nie widział. Trzeba szczerze powiedzieć, że nawet nie mógł niczego zobaczyć, bo taki był zadowolony, że przymknął ślepką i biegł trochę na oślep. Zbliżał się do brzozowego zagajnika. Za nim rosły wielkie, rozłożyste, grube świerki obwieszane długimi, jasnobrązowymi szyszkami pełnymi nasion, które uwielbiają leśne wiewiórki. Gucio lubił zapach żywicy i wiatru, a w kosmatych, zawsze zielonych i trochę klujących świerkowych gałązkach ten zapach był najmocniejszy, więc Gucio jeszcze przyspieszył, zrobił dwa wielkie susy i właśnie chciał zrobić trzeci, gdy ziemia się pod nim zapadła i koziołkując stoczył się na dno głębokiej jamy.

Nie rozumiał, co się dzieje. Bolała go przednia łapka, cały był poobijany i trochę mu się kręciło w lepkę. Ale przede wszystkim nie wiedział, gdzie jest i jak ma się wydostać z dołu, w jakim zmieściłoby się dziesięciu Gucioów i to wtedy, gdyby ktoś ich ustawił, jednego na drugim.

Gucio nie miał pojęcia, że ostatnia jesienna wichura wyrwała ogromny, stuletni świerk i zostawiła w ziemi ślad po jego korzeniach – czeluść wypełnioną śniegiem i dlatego prawie niewidoczną. Na dnie tej czeluści, w czasie deszczu albo odwilży zbierała się woda, potem ścisnął mróz i woda zamieniła się w twardego lodu, dlatego Gucio tak się poobijał podczas upadku i teraz nie mógł utrzymać równowagi. Krótkie łapki rozjeżdżały mu się na boki, ta potłuczona jeszcze bardziej bolała, mokry, okrągły brzuszek przywierał do śliskiego podłoża – jednym słowem Gucio był w bardzo trudnym położeniu. Na dodatek był głodny. Minęła pora obiadu, pusty żołądek Gucia skrzęcał się jak obwarzanek. W jego domu na pewno czekała miseczka pełna wspaniałego, smacznego jedzenia. Biedny psiak wyobrażał sobie, jak babcia wychodzi na ganek,

rozgląda się, robi z dłoni daszek i wypatruje, czy nie nadbiega jej ulubieniec.

– Pewnie się martwi, że mnie nie ma – myślał. – Znowu będzie brała krople na serce. Żeby się tylko nie przeziębila, bo na pewno wyglądała już ze sto razy, a nigdy się nie okryła ciepłą chustką. Babcia ma delikatne zdrowie, tyle razy sobie przysięgałem, że będę o nią dbał, a tu proszę... Znowu narozrabiałem.

Przez moment Guciovi się wydawało, że czuje na lepką ciepłą i dobrą dłoń babci. Westchnął zadowolony, ale to jego marzenie nie trwało długo, robiło się coraz zimniej. Gucio marzył, bo jego króciutka sierść nie chroniła dostatecznie przed mrozem. Zaczął dygotać, był coraz bardziej przerażony. Czuł się dokładnie tak jak wtedy, gdy spotkał nos w nos ogromnego owczarka kaukaskiego i ze strachu nie wiedział, co ma robić. Na wszelki wypadek przewrócił się wtedy na grzbiet podnosząc wszystkie cztery łapki i prosząc: „Zostaw mnie w spokoju, jestem grzeczny i malutki, nie rób mi krzywdy”. Wielki kaukaz nie miał zamiaru zamować się taką psią pchelką. Sapnął, powąchał wystraszonego Gucia i pobiegł swoją drogą, ale Gucio do końca życia będzie pamiętał, jaki był wówczas bezradny. Teraz bał się dokładnie tak samo.

Zimowy dzień trwa krótko, zmierzch zapada szybko i od razu dookoła robi się czarno i ponuro. Gucio jeszcze nigdy nie był nocą poza domem. Po kolacji zasypiał spokojnie na swoim mięciutkim posłaniu, a stary zegar śpiewał mu kołysankę: bim, bom, bim, bom, bim... Teraz nawet mruczenie kota Franciszka wydawało mu się najpiękniejszą melodią. Dalby wszystko, żeby być w swoim domku, czuć zapach ciasta z jabłkami, jakie na pewno upiekła babcia oraz woń mięska z kaszą i warzywami – ulubionej potrawy wszystkich Guciołów na całym świecie.

Niestety, tutaj tylko obco pachniał stary las, a z ciemności dochodziły trzaski, huki, skrzypienia, jakich Gucio nie znał i jakie sprawiały, że trzęsły się i dygotały wszystkie guciove mięśnie i kostki, długie uszy pojechały na tył głowy i leżały płasko na szyi, a ogona wcale nie było, bo przyłgnął do brzucha i nie chciał się stamtąd odkleić. Tyle się w nim nagromadziło uczuć i emocji, że po raz pierwszy w życiu nagle wysoko podniósł długą mordkę i głośno zaśpiewał: „Auuuu, ooouuu, raaatuuunku, pooomooocy, SOS!”

Gucio bardzo chciał, żeby ktoś go usłyszał, najlepiej dziadek, który był mądry i na wszystko miał sposób i radę. Dziadek umiał naprawić żelazko i radio, znał

wszystkie hasła do krzyżówek, wiedział, jak włączyć kosiarkę i pięknie rzeźbił w lipowym drewnie. Gdyby wiedział, co się przytrafiło Guciovi na pewno by go nie zostawił i uratował. Więc Gucio śpiewał i śpiewał, wołał, popłakiwał rozpaczliwie, aż zachrypl i zaczęło go boleć gardło. Wtedy pojął, że chyba wszystko stracone. Mówiliśmy wcześniej, że psy nie płaczą, ale chyba nie mieliśmy racji...

Gucio płakał wielkimi, prawdziwymi łzami, miał mokry pyszczek i nos, a krople, jakie z nich spadały od razu zamieniały się w lodowe kuleczki i uderzając o twarde grunt dzwoniły: „dzyń, dzyń”, zupełnie, jak małe, srebrne dzwonki. I wtedy Gucio sobie przypomniał, że dziadek zawsze powtarzał:

„Nie ma sytuacji bez wyjścia! Zdarza się, że złapiemy zająca, przewrócimy się, nawet potłuczemy kolana i łokcie... Trudno! Trzeba się wtedy podnieść, otrzepać, zacisnąć zęby i iść do przodu! Trzeba być dzielny i mieć charakter, próbować raz, drugi, trzeci... do skutku!”

Gucio nie był głuptasem. Rozumiał, że jeśli się podda, to przegra, więc zaczął drapać pazurami oblodzone krawędzie dołu, ale to na nic się zdało. Podciągał się na jednej zdrowej łapce i zaraz zjeżdżał w dół. Było zbyt wysoko i stromo, żeby mógł sobie sam poradzić. Wreszcie, bardzo już zmęczony, skulił się jak malutki szczeniaczek, wsunął nos pod tylną łapę i zasnął. Miał nad sobą ciemnogrnatowe niebo pełne gwiazd i okrągły, jasny księżyc, który wyglądał tak, jakby się martwił o biednego, samotnego i nieszczęśliwego Gucia. Ale co mógł zrobić daleki księżyc? Mógł tylko świecić tak mocno, żeby Guciovi było nieco raźniej, bo trzeba powiedzieć, choć to tajemnica, że wesoly i dzielny Gucio troszkę się bał ciemności...

Mglistym, śnieżnym świtem obudziło Gucia krakanie wrony. Chyba się dziwiła, co robi taki nieduży pies w głębokiej pułapce i opowiadała każdemu, kto chciał słuchać: „Krra, krra, halo, halo... Uwaga, ostrzegam wszystkich mieszkańców – nie jesteśmy tutaj sami... Obcy w lesie!”

Gucio czuł się jeszcze gorzej niż wczoraj. Chora łapka piekła żywym ogniem, rwała, jakby ją ktoś piłował tępym ostrzem. Gucio aż zapiszczał, kiedy nieostroźnie próbował się na niej oprzeć. Nos i uszy płonęły od gorączki, a na szpiczastej kufie roztopiały się płatki śniegu, jak na rozpalonej fajerce.

Gucio jeszcze nigdy nie był chory, zwykle skakał i biegał całe dni, a energii miał w sobie więcej niż mała elektrownia. Teraz leżał bez ruchu, a przez jego długi tułów przbiegały dreszcze podobne do czerwonych mrówek. Gucio wiedział,

jak one potrafią ukąsić, bo kiedyś goniąc za motylem wszedł na ich terytorium. Och, jak się wtedy namęczył, żeby je z siebie pozganiać, a i tak go mocno i boleśnie poszczypały za karę, że zakłócił ich spokój. Oprócz dreszczy miał w gardle ostrą drzazgę, która nie pozwalała mu oddychać i przelykać śliny. Chciało mu się pić, więc wziął na język trochę śniegu, ale nie zaspokoił pragnienia. Próbował się chować przed słońcem, które jak na złość, świeciło dzisiaj bardzo mocno i odbijało się od śniegowej bieli, puszczając oślepiające zajączki. Piekły go oczy, jak wtedy, gdy zrzucił ze stołu pojemnik z przyprawami i zaproszył sobie ślepka pieprzem. Babcia długo przemyślała mu pyszczek letnią wodą. Jak zwykle mu pomogła i pocieszyła, bo na babcie i dziadka zawsze można było liczyć. Teraz Gucio wiedział, że sam się nie wydostanie, a nie było przy nim nikogo, kto mógłby go wyciągnąć z tarapatów, więc chociaż był już nastolatkiem, popiskiwał jak malutki szczeniaczek. Było mu bardzo smutno.

Znowu szybko zapadł wieczór, świat poszarzał, a potem pociemniał, bo tym razem księżyc chował się za chmurami. Guciovi wydawało się, że do jego jamy zagłąda drapieżny rosomak i chytry lis, że niedaleko siedzi sowa z zakrzywionym dziobem i czarna kania z żółtymi nogami, o mocnych, ostrych szponach. Wszyscy tak wyglądali, jakby też byli głodni i wyraźnie na coś czekali. Gucio wołał nie wiedzieć na co...

Biedny, mały psiak był zupełnie sam, a samotność nie jest dobra i Gucio właśnie się o tym przekonał. Małe serce Gucia odmierzało coraz straszniejsze godziny, jego nos łowił nieznane, groźne zapachy, pies kulił się, związał w kłębek, wstrzymywał oddech, aż nagle... coś mu kazało się podnieść. Stanąć prosto jak na warcie, podnieść uszy, znieruchomieć i słuchać. Ktoś nadchodził.

Gucio coraz wyraźniej słyszał ostrożne kroki, tak miękkie i delikatne, że nawet nie zapadał się pod nimi puszysty śnieg. Według Gucia tylko jedna istota umiała się tak skradać, tak prześlizgiwać z miejsca na miejsce jak cień albo dym. Tą istotą był czarny kot Franciszek! Gucio się nie mylił! Aż pisał z wielkiego szczęścia, kiedy się przekonał, że Franciszek naprawdę go odnalazł. Najpierw jego trójkątny pyszczek pojawił się na tle nieba, a potem jednym, lekkim susem kot znalazł się na dnie jamy, tuż przy Guciu.

Gucio znowu przewrócił się na grzbiet, ale tym razem z radości. Pokazał różowy brzuch zwykle okrągły jak piłeczka, a teraz pusty i zziębnięty, odwrócił w bok

lepek, przymknął ślepka i podniósł łapki. W ten sposób psy mówią: „Boję się, daj mi spokój, odejdz”, ale także – „Mam do ciebie zaufanie, chcę się bawić, bardzo cię lubię”.

Gucio przeproszał Franciszka i przyznawał: „Jesteś mądrzejszy i silniejszy ode mnie. Będę cię słuchał”. Pozwolił się obwąchać, poszturchać aksamitną łapką i pokornie wysłuchał kociego narzekania:

– Kto to słyszał – szeptał gniewnie Franciszek – żebym ja, stateczny i wygodny kot w dojrzałym wieku włóczył się po nocach w poszukiwaniu smarkacza, któremu zachciało się uciekać z domu!

– Nie uciekałem, to był wypadek – tłumaczył Gucio. – Chciałem pozwiedzać okolicę, naprawdę tak było!

– Pozwiedzać, pozwiedzać – przedrzeźniał go Franciszek. – Przez to twoje zwiedzanie babcia i dziadek prawie się pochorowali ze zmartwienia! Patrząc na to nie mogłem. Musiałem zaryzykować przeziębienie i cię poszukać. Na szczęście jestem inteligentny, więc się domyśliłem, gdzie mogłeś pójść...

Gucio chciał powiedzieć, że Franciszek jest także skromny, ale tylko westchnął i grzecznie poprosił:

– Zabierz mnie stąd jak najszybciej.

Franciszek zaczął starannie opukiwać łapką oblodzony dół, wysuwał pazury i zaczepiał je o zmarznątą ziemię, myślał, szukał sposobu wydostania się na zewnątrz. Nie dla siebie, on dałby sobie radę, bo był zręczny jak linoskoczek, ale trzeba było przecież wyciągnąć zmęczonego, niewyspanego i głodnego Gucia, który na dodatek nie potrafił się wspinać, miał bardzo krótkie nóżki, w tym jedną bezwładną i obolałą. Franciszek marszczył czoło, kręcił płaskim lepkim i przymykał oczy, wielkie, okrągłe i żarzące się jak drewnienka w ognisku.

– Noo, nie wiem, nie wiem – mruczał. – Jak tu sobie prądzić z takim niezdarą? Co wymyślić?

Nagle złożył łapki, jakby samemu sobie chciał bić brawo i zawołał:

– Mam pomysł! Słuchaj, mały, skakałeś kiedyś na batucie?

– Nigdy. Nawet nie wiem, co to jest.

– Batut to taka trampolina, skocznia, jak się dobrze odbijesz, możesz polecieć w górę, a nawet zrobić parę fikolków. Dałbyś radę?

– Ale tu przecież nie ma batutu!

– Jest. Popatrz na mnie...

– Patrę. I co?

– Będą mnie znowu bolały kości, ale co tam! Poświęcę się dla ciebie!

– Nic nie rozumiem...

– To proste. Mój grzbiet będzie dla ciebie batutem. Podrzucę cię tak wysoko, jak się da. Reszta zależy od ciebie, musisz polecieć w górę i wylądować obok tego dołu, w którym teraz obaj siedzimy. To proste. Nie bój się! Pamiętaj, jak nasz dziadek mówił: „Nie święci garnki lepią”? To, co masz zrobić jest łatwiejsze niż ulepienie garnka. Rozumiesz?

Gucio wszystko rozumiał, ale rozumieć, to nie znaczy zrobić. Rozumie się na przykład, że nie należy jeść za dużo słodczy, bo potem boli brzuch i zęby, ale rozumienie w niczym nie pomaga, bo słodczy sa takie smaczne. Rozumie się, że samotne wyprawy do nieznanych, dalekich miejsc mogą się źle skończyć i... co z tego? Guccio był najlepszym przykładem, że samo rozumienie nie wystarczy.

– Co będzie, jeśli źle wyceluję i z powrotem trafię do tej jamy? – zapytał.

– Właśnie o to chodzi, żebyś nie trafił! Masz celować obok.

Kot Franciszek mówił takim pewnym, spokojnym, przyjaznym głosem, jakiego Guccio jeszcze nigdy u niego nie słyszał. Chwalił Guccia, twierdził, że sobie świetnie poradzi w tej niezwyklej i trudnej sytuacji, chociaż Guccio myślał, że będzie odwrotnie. Mówił, że zawsze wierzył w guciową zręczność i siłę. Na koniec pogłaskał psiaka po uchu i rozkazał:

– Policzę do trzech, a wtedy ty gramol mi się na plecy. Potem już myśl tylko o tym, że to twoja jedyna szansa. Musisz ją wykorzystać!

Potem dodał:

– Całe szczęście, mały, że trochę schudłeś. Takiego serdelka, jakim byłeś, mógłbym nie udźwignąć! Noo, zaczynamy? Przybij piatkę!

Kot położył się na dnie lodowej jamy, a Guccio wdrapał się na jego grzbiet. Nigdy by nie przypuszczał, że w takim jedwabistym, delikatnym i mięciutkim futerku mieści się stalowa sprężyna umiejająca się zginać i prostować, kiedy tylko Franciszek zechce. Koci kręgosłup był elastyczny i giętki. Guccio nie miał pojęcia, że mały kot ma aż o czterdzieści kości więcej niż duży człowiek i że kręgi kociego kręgosłupa od szyi do końca ogona tworzą długi i mocny łuk, przy pomocy którego Franciszek miał zamiar „wystrzelić” Guccia w powietrze. Wiedział tylko, że musi bezgranicznie

zaufać Franciszkowi, posłuchać go i zrobić dokładnie to, czego on chce. Innego wyjścia nie było.

Guccio w ciągu paru minut zmądrzał i wydorosłał, jakby nagle z zerówki przeszedł do trzeciej albo nawet czwartej klasy. Zrozumiał, że są takie poważne i trudne chwile, kiedy trzeba słuchać starszych, robić to, o co oni proszą i nie marudzić, na przykład wtedy, gdy komuś grozi niebezpieczeństwo. Przekonał się, że ktoś bliski i godny zaufania na pewno pomoże. Tak, jak teraz kot Franciszek, który w mroźną i śnieżną noc opuścił swoją wygodną poduszkę i poszedł szukać małego Guccia, a jak powszechnie wiadomo koty nie lubią się przemęczać, nie znoszą wilgoci i bardzo dbają o swoje futerka.

Króciutkie łapki Guccia trochę się ześlizgiwały z kociego grzbietu, więc musiał się najpierw nauczyć, jak utrzymywać równowagę, ale po paru próbach siedział na kocim grzbiecie jak jakiś dżokej! Kot wolniutko wstał. Jego mięśnie zrobiły się twarde jak stal, głęboko odetchnął, a potem głośno i stanowczo miauknął:

– Jesteś gotowy? Uważaj... juuuż!

Guccio wyleciał w górę, jak z procy! Instynkt kazał mu szeroko rozłożyć łapki, a płasko położyć lepek i ogon. Guccio wyglądał jak mały spadochron. Szkoda, że nie było wtedy nikogo z aparatem fotograficznym albo chociaż komórką, bo zrobiłby wspaniałe zdjęcie. Ale ponieważ nikogo takiego nie było, to może można by to chociaż narysować?

Wspominaliśmy, że zmartwiony księżyc właśnie tej nocy chował się za chmurami, widocznie jednak trochę zerkał na Ziemię obserwując małego Guccia i jego przygody, bo właśnie wtedy, gdy Guccio tego najbardziej potrzebował, odsłonił jeden pyzaty policzek i oświetlił świat, jakby pstryknął tysiącwatową żarówkę. Dzięki temu Guccio lecąc w dół mógł tak celować, żeby spaść nie do głębokiej jamy, ale obok, prosto w puszystą śnieżną zaspę.

Był bezpieczny. Troszkę poobijany, mocno wystraszony, głodny, ale bardzo, bardzo szczęśliwy. Podniósł się, otrząpiał, postawił ogonek jak antenkę i przysiągł sobie, że już nigdy, przenigdy nie narobi żadnych głupstw. Jak myślicie, można mu wierzyć?

Czekała ich jeszcze droga powrotna, ale to już była pestka, chociaż Franciszek trochę narzekał, że zimno i pogoda nie dla poważnych, roztropnych kotów, a Guccio musiał kuśtykać na trzech zdrowych łapkach, ale gdyby nawet miał się czołgać jak żołnierz na poligonie, też by się nie skarżył. Prawdziwa radość czekała ich dopiero w domu.

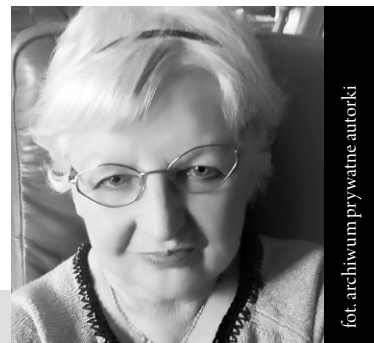
Babcia aż się poplakała ze szczęścia, a dziadek od razu opatrzył łapę Gucia i umieścił ją w sztywnych drewniakach, owiniętych elastycznym bandażem, żeby wydobrzała i znowu była sprawna. Najedzony, wytarty do sucha piesek długo leżał na kolanach babci czując jej dłoń na swoim łepku i grzbiecie. Drzemał, ale od czasu do czasu podrygiwał, jakby śniło mu się coś straszego. Wtedy Babcia szeptała:

– Ciiiicho, nie bój się już. Jesteś w domu – i Gucio znowu zasypiał chowając nos w babcinym fartuchu.

Babcia i dziadek chodzili na palcach, żeby go nie przstraszyć, szykowali przysmaki, głaskali i przytulali, nawet okrywali kocykiem, ale prawdziwym bohaterem był kot Franciszek. Miał nową, jeszcze wygodniejszą poduszkę i miseczkę pełną przysmaków. Dziadek go bardzo pochwalił, a na pochwałach dziadka Franciszkowi zawsze zależało, bo dziadka najbardziej kochał i szanował. Na koniec dostał od babci mały, płócienny woreczek z kocimiętką i mógł go do woli turlać, wachać i tarmosić, przymykając z rozkoszy złotozielone oczy. Gucio mu wcale nie zazdrościł. Był bardzo wdzięczny Franciszkowi i rozumiał, że zasługuje on na wszystkie nagrody i prezenty, a także na dużo więcej.

Nadeszła noc. Babcia i dziadek poszli spać, w domku było ciepło i bezpiecznie, miło grzał kaflowy piec, a stary zegar jak zwykle wydzwaniał godziny: bim, bom, biiim, booom. Tylko Gucio nie mógł zasnąć. Co przymknął ślepką, to mu się wydawało, że znowu jest w czarnym, lodowatym dole bez wyjścia, że słyszy szum lasu i szmer drapieżników przemykających między drzewami. Popiskiwał ze strachu, a może nawet cichutko płakał?

Wtedy ze swojej poduszki, leżącej na komodzie, zeskoczył czarny kot Franciszek. Podszedł do małego Gucia, który zamknął oczy, bo się wstydził, że jest takim mazgajem, ułożył się obok i objął Gucia miękkimi, aksamitnymi łapkami. Pozwolił, żeby Gucio się do niego mocno przytulił i zaczął mu mruczeć najpiękniejszą, kocia kołysankę. Dopiero wtedy Gucio naprawdę głęboko i spokojnie zasnął. Miał przy sobie prawdziwego przyjaciela, miał kochanych i kochających babcię i dziadka, miał dom i ogródek, posłanie i własną miseczkę. Miał wszystko, czego potrzebuje pies, żeby był szczęśliwy. A wy, jak myślicie? Czy człowiek potrzebuje dużo więcej?



fot. archiwum prywatne autorki

JANINA LESIAK

– autorka dziesięciu książek (Wydawnictwo MG), w tym cyklu o polskich królowych. Bajkę o Guciu i Franciszku napisała zaniepokojona przemocą i okrucieństwem ukrytym w twórczości dla dzieci.